

Wspomnienia z Oceanu Atlantyckiego:

odcinek Fuerteventura (Wyspy Kanaryjskie) – Mindelo (Wyspy Zielonego Przylądka)

23 listopada

Opuszczamy Wyspy Kanaryjskie. Zbiorniki z wodą zatankowane na ful, bakisty i inne ogólnie dostępne miejsca pełne zapasów żarełka. Tylko trochę nam nie wieje... a to przecież mają być regaty!

17.05 wybija i zaczynamy! Trochę później niż było to zaplanowane, i Andrzej pewnie ma mordercze myśli wobec nas, ale trudno. Najważniejsze, że po tylu dniach stania w bezprysznicowym porcie, w końcu płyniemy! Najpierw trochę bujamy się na żaglach, ale potem - odpalamy silnik ...

Yahoooo, zaczęło wiać!!! Stawiamy grota foka i fruniemy do przodu. Jest super! Prędkość 4-5 kts, nad nami pięknie rozgwieżdżone niebo, jeszcze widzimy kawałek lądu, ale po chwili na horyzoncie - jak okiem sięgnąć – już tylko Atlantyck. Obieramy kurs na Wyspy Zielonego Przylądka. A potem - na Karaiby.

24 listopada

Równiutko dwa miesiące mija od momentu opuszczenia Monfalcone. Nieźle! Jakaś taka refleksja mnie z tej okazji naszła... że tak naprawdę, to niezależnie do tego w jakich warunkach i rejonach płyniemy, najważniejsze jest to, że nie pozabijaliśmy się jeszcze. Bo przecież dwie kobiety na jednym 8,5 metrowym jachcie - to mieszanka naprawdę wybuchowa, a my... wciąż dogadujemy się...

25 listopada

Nie działa nam sailmail (cholera wie czemu). Jesteśmy odcięte od zewnętrznego świata, ale... jakoś nie brakuje mi tego. Dziwne, prawda? Komunikujemy się z dziewczynami by UKF. Zasięgu komórkowego też nie ma. Znowu tylko ocean m i my. Bosko!

Gosia tłumaczy mi wykreślanie kursu na mapie (noo, tego jeszcze nie potrafię) a po chwili – daje już jakieś zadanie .. Hmm, to wcale nie takie trudne, jak mi się kiedyś wydawało.

Zaczyna wiać całkiem-całkiem, jakieś 15-20 węzłków. Suniemy do przodu na żagielkach, że hej! W końcu stawiamy nawet spinakera (a co tak samotnie będzie w worku leżał)... I zapiera nam dech. Bo wygląda... pięknie! I wprost unosi naszą mantrę tuż nad taflą granatowych fal...

26 listopada

Wspominałam już, że mamy nowe autopiloty? Na mantrze „Asi” ten nowy zwie się zenek (w chwilach irytacji - zenobiusz). Tak sobie na niego właśnie patrzę... Hmm... oczka kolorowe (jedno zielone, drugie czerwone), buźka otwarta (zupełnie jakby chciał coś powiedzieć, ale na szczęście - tylko jakby; bo jeden facet próbujący coś powiedzieć pośród dwóch absolutnie nie milczących kobiet nie miałby przecież absolutnie żadnych szans), i wykonuje te swoje namiętne, zwrotno-posuwiste ruchy. I jest czarny (Andrzej chce nas chyba przyzwyczać, że białych – to my teraz rzadko będziemy oglądać). Ale naprawdę - porządny z niego gość.

Gosia sprawdza na mapie, gdzie jesteśmy (poza tym - że na wodzie). Dookoła ciemno. Zero statków. Zero gwiazd. I nagle - za rufą światło! Jasne, olbrzymie, niesamowite. Skąd ono się wzięło? „Gosik!!!” Gosia weszła na pokład i ze spokojem: „Aaa, too? To księżyc wstaje. Też mnie kiedyś wystraszył”. Uff, a już myślałam, że to jakiś stator. I popatrzyłyśmy sobie obie, jak wstaje nasz łysy. Ogromna świecąca kula wynurzająca się z oceanu. Tylko dlaczego tak mnie wystraszył?

28 listopada

Gdzieś w okolicach 3.00 udało mi się obudzić Gosię (noo... nie było lekko, ale też i nie miałam sumienia jej budzić; w końcu jest cicho i żadnych statków, i wiaterek też oki; tylko oczy taaak mi się kleją, że zasypiam na stojąco...) Uff... w końcu mogę położyć się spać... Kurde, Gosia miała obudzić mnie za 2-3 godziny... a tu co słyszę? „Śniadanko!” I widzę ten jej pięknym uśmiech, i power na buzi. Super! Pewnie znowu wzięła podwójną dawkę „Plusssza”...

Po śniadaniu ciąg dalszy ćwiczeń z wykreślenia kursów, nanoszenie pozycji, wypełniania dziennika... no co, coś trzeba robić...

Dzisiaj, po kilku dniach pływania kawał od siebie (to znaczy na odległość słyszalności na UKF-ce), obie mantry spotkały się i mogłyśmy pogadać na żywo. Przywiązałyśmy łódki mocno do siebie, by żadna nie uciekła (bo co my bez nich na środku Atlantyku byśmy zrobiły?) Trochę powyglądałyśmy się i takie tam... Ba! Nawet popływałyśmy sobie w

Oceanie! Szczęśliwie ani rekinów ani innych większych stworzeń nie było. Tylko kolorowe rybki przepływające tuż obok... Przy okazji spotkania zrobiłam rizotto (chyba dobre, skoro nawet na zimno było wyjadane.) Ania i Gosia próbowały zrobić coś z naszym sailmailem, ale lipa, dalej nie działa.

29 listopada

Gosia położyła się spać. Ja to piszę, to dziennik wypełniam, i patrzę czy coś przypadkiem nie płynie (dziewczyny są obok - ciągle widzę ich światła!) Ooo... jeszcze 303 Mm do mety! Toż to rzut beretem... w porównaniu do tych 2000, które czekają nas potem.

Cieplutka noc dzisiaj, mnóstwo gwiazd, chociaż i parę chmur się zbiera pasqdnych, ale może przejdą bokiem... Wieje wprost zabójczo: 5, w porywach do 7 knt, a nasza prędkość to 3-4,5 kts. Ale silnika nie odpalamy! Już i tak mamy za dużo godzin, a w ostatecznym podsumowaniu czasów te godziny na silniku liczą się najbardziej (niezależnie od tego, kto kiedy przekroczy linię mety). Więc się bujamy... może potem będzie więcej wiatru i nadrobimy straty? Zobaczymy.

Patrzę na dwa samotne jachty na wielkim Atlantyku! Wokół żadnych innych światel... jest pusto... i bardzo cicho...

Wczesnym rankiem (ok. 7.00) rodzi się plan. Nie powiem - wredny. Jeszcze zanim dziewczyny o tym pomyślały my wykorzystujemy wiatr (jakieś 4-5B) i stawiamy naszego spinakera. I suniemy do przodu... Płynie się rewelacyjnie. Ja steruję - ręcznie (!) Ze spinakerem to jeszcze trudniejsze, ale daję radę. Gosia pasqda zostawiała mnie samą... i ze sterem, i ze spinakerem... Trochę się boję! A jak przestanie pracować? A jak wpadnie do wody i mantra stanie w niekontrolowanym przechyle? Strach i mnóstwo pytań... ale z drugiej strony tak cudownie jest trzymać ster w rękach! I patrzeć na spinakera w całej jego krasie. I czuć, że nad wszystkim panuję! I stopniowo strach zamienia się w ogromną radochę!!! Bo tu jest tak pięknie! Po prostu pięknie!... Pora zrzucić czerwony żagielek... jedna przy falach i brasach, druga - zrzuca i do wora. A steruje - nasz facet.

30 listopada

Woow!!! zostało nam niecałe 100 Mm do mety! Mam nadzieję, że na Wyspy Zielonego Przylądka dotrzemy za dnia.

Wieje 5-6B i wozi nami po tych falach okropnie! A niektóre fale to nawet burtami do środka wpadają... ale szczęśliwie jeszcze suche jesteśmy, ciekawe jak długo? W oddali gdzieś pomiędzy falami żagielki mantry „Ani”... fajnie znów je widzieć niedaleko. Rękaw spinakera

nam się trochę podarł na szwie. Gosia ceruje go zawzięcie. Humory nam dopisują, bo czemu nie? Wieje niezłe, to suniemy do przodu jak na skrzydłach. Próbuję spać, ale co się położę to z żaglami trzeba coś zrobić.. Po każdym takich manewrach uparcie wracam do koi. A Gosia tylko się śmieje: „Może weź Plusssza, i tak nie zaśniesz...” Nie, nie będę brała. A tu wieje coraz mocniej. W końcu poddaję się i idę po Plusssza.... I obie w śmiech. W ramach tego, że jesteśmy happy, puszcza sobie „Nothing Else Matters” i... wyjemy (bo nie napiszę przecież, że śpiewamy, i tak nikt nie uwierzy). I jest pięknie!

1 grudnia

Yahooo!!! O 3.53 udało się nam przekroczyć linię mety! Byłyśmy pierwsze!!! Co prawda lekko nie było, bo pomiędzy skałami z dwóch stron trzeba było jechać, na jednej światła latarni, na drugiej - światła brzegowe. Brrr, niefajna perspektywa. I dowiewało nam w tym przesmyku 25-28 knt!!! że aż ster ciężko było utrzymać. A nie wolno było skrócić, bo brzeg jeden i drugi tak blisko... Sterowałyśmy na zmianę. Gosik co chwila biegała do laptopa sprawdzić gdzie mamy jechać, i czy przypadkiem w coś się nie wrąbiemy. Ech, to było przejście! Nie zapomnę go nigdy! Ciężko i trudno było. Nie tylko, że cały czas wiało solidnie, że wąsko, ale - ten brak snu!... Tak bardzo chcieliśmy już stanąć, już odpocząć, już być na miejscu... A mimo to - dałyśmy radę!!!

Kiedy w końcu udało się nam zakotwiczyć, to okazało się, że kotwica nie trzyma. Ja za sterem, Gosia na dziobie wspomaga mnie swoim kapitańskim pewnym głosem. Kotwica w dół i chwila spokoju. Ale nie na długo. Bo kotwica puszcza a nas znosi na inne jachty. Trzeba ją wybrać i jeszcze raz spróbować. A tu pojawia się problem, bo winda nie chce współpracować. W związku z tym Gosia używa sił ręczno-mięśniowych, żeby ten łańcuch na pokład wytargać. Rzucamy kotwicę ponownie, a ta, kurde, znowu nie trzyma. Może coś źle robimy? Dziewczyny już się zakotwiczyły - bez problemu. Ich kotwica trzyma. Chcieliśmy być w miarę blisko siebie, ale wygląda na to, że raczej nic z tego. Powoli dochodzi 6.00 rano. Wszystkie jesteśmy zmęczone jazdą, oczy zamykają się same, a myśli krążą tylko wokół jednego: by choć na chwilę przyłożyć głowę do poduszki. W końcu udaje się nam zakotwiczyć. I to blisko siebie... W razie czego - będziemy się budzić wzajemnie.

Mindelo, ciągle 1 grudnia...

Godzina tak wczesna, że aż głupio wstawać... Minęły ledwie 2, może 3 godzinki, kiedy nagle słyszymy przez UKF krzyk Madzi z drugiego jachtu. Kotwica znowu nam puściła i zbliżamy się do ogromnego, żelaznego statku. Natychmiastowa pobudka. Tym razem Gosia

przejmuje ster. Ja ruszam na dziob do walki z kotwicą. Jako że winda znów odmawia pomocy - kotwicę wybieram napędem siłowym własnych rąk. Kotwica w dół. Szlag by to trafił: znowu nie trzyma! Co jest u diabła? Po raz kolejny wybieram ją ręcznie (w czym nabieram już wprawy). W końcu wygląda na to, że jest oki, że kotwica trzyma. Niestety, odległość między naszymi jachtami trochę się zwiększyła, ale nie jest tak źle.

Wreszcie możemy zobaczyć gdzie jesteśmy. Jak wygląda ten koniec świata: Mindelo na Wyspach Zielonego Przylądka. Dookoła stoi pełno jachtów, statków i stateczków różnej maści, czasem nawet jakiś prom da znać o swoim istnieniu. Na brzegu góry, co wyglądają jak łyse skały. Piękny zakątek.

Bardzo dużo gramy na gitarach, wykorzystujemy te chwile, kiedy możemy być we cztery... Ponadto, chyba jako jedyne, kapiemy się na kotwiczowisku pływając do siebie jak nam się nie chce pontonu używać (jest gorąco!!!) A poza tym ciągle coś naprawiamy, reperujemy, klarujemy... czyli dzień jak co dzień.

A tak w ogóle to budzimy radość wśród innych jachtów, kiedy tak pływamy naszą mantrą i ciągle coś śpiewamy... albo lądujemy za blisko tego statora, co za nami na kotwicy ciągle stoi i chyba nikogo na nim nie ma... albo nie możemy odkręcić zaworu paliwa i prosimy o pomoc z jednego jachtu... Ech, przemili ludzie tutaj! Poznałyśmy np. stojący niedaleko katamaran z Niemcami na pokładzie (sami faceci!) Irakijczycy też nas do siebie zaprosili. I tu dopiero niespodzianka. Kapitanem u nich - kobieta!!! Pierwsza napotkana przez nas pani kapitan dużego katamarana. I wcale się nie dziwiła, że na naszych łódkach same kobity. A potem my pomagałyśmy im przy ich grocie, który z naprawy wrócił. Prawdziwy olbrzym! Nie wiem ile miał metrów, ale jego dolną listwę musiało trzymać z 10 osób.

Następuje też zamiana załóg. Przewozimy wszystko pontonem i sztaujemy się na nowo: ja na dziobie na mantrze „Ani”, natomiast Madzik - na rufie na mantrze „Asi”. Miło jest wrócić na stare śmieci. Jestem pełna energii i szczęścia!

Ostatniego wieczoru popłynęłyśmy na ląd i wylądowałyśmy w takiej małej knajpce, a tam, pośród fotek różnych żagli, jest i „Fryderyk Chopin”! Oni też tu byli! Każdy klient dostaje kartkę i długopis, żeby coś o sobie, o knajpce napisać. Zapisane kartki wiszą na ścianach. Są głównie w języku angielskim i francuskim. My - dla odmiany - napisałyśmy po polsku. Potrawy wybieramy na chybił trafił. Pani jest miła, ale kompletnie nie rozumie ani po angielsku (choć kiwa głową tak tak...), ani po francusku, ani włosku... a hiszpańskim – to z kolei my nie operujemy. Chciałyśmy frytki. Mamy dość ryżu!!! Co dostajemy?! Ryż! Cztery razy!!! Obok nas siedzi małżeństwo Włochów. Zagadnęliśmy do nich. Bardzo sympatyczni

ludzie (a może to my tak na ludzi działamy?) Wyściskali nas na pożegnanie i życzyli wszystkiego dobrego.

Wracamy na łódkę, uśmiechnięte, rozśpiewane... a tu, w połowie drogi, silnik odmawia posłuszeństwa. Paliwo się skończyło. Do mantr – daleko. Madzik chwyta za wiosła. My ją... dopingujemy: „I raz! I dwa! I z krzyża! I mocniej!”. Madzik chce nas zabić...hmmm ciekawe dlaczego?

Dopływamy do kotwiczowiska. Na mantrę „Anię” wiosłuję ja. I nawet udaje mi się trafić w łódkę.

Andrzej napisał, że mam możliwość powrotu z Granady. Hmm... chyba z niej skorzystam, czemu nie? W maju mogłabym np. na Bałtyk (jak mnie ktoś weźmie na łódkę)...

Agata Mryczko